



**DR HAB.
JUSTYNA KILIAŃCZYK-ZIĘBA**

Pracuje w Katedrze Edytorstwa i Nauk Pomocniczych na Wydziale Polonistyki UJ. Była również związana z krakowskimi wydawnictwami. Jest autorką kilku książek, w tym publikacji *Czcionką i piórem. Jan Januszowski w roli pisarza i tłumacza* (2007) i monografii *Sygnety drukarskie w Rzeczypospolitej XVI wieku. Źródła ikonograficzne i treści ideowe* (2015). Zajmuje się także literaturą dziecięcą (twórczyni m.in. zbioru *Lew świętego Hieronima i inne opowiadania*, 2009). Jej artykuły opublikowano, chociażby, w serii „Glasgow Emblem Studies” oraz w „Biuletynie Historii Sztuki”. Zafascynowana kulturą odrodzenia, najstarszymi drukami i naukowym wydawaniem dawnych tekstów.

Długa lekcja

Z PRZESZŁOŚCI PAMIĘTAM głównie nastroje. Z konkretnymi jest znacznie gorzej, więc nic dziwnego, że wspomnienia na temat olimpijskich tematów konkursowych, analizowanych wierszy i pytań komisji egzaminacyjnych mam bardzo mgliste i pokawałkowane. Zresztą, może miejsce na taką buchalterię jest w innym archiwum. Lepiej przywołać spotkania, które pomogły mojej olimpijskiej przygodzie: spotkania z tekstami i książkami, ale przede wszystkim z ludźmi.

Jasne, że rzecz musi mieć początek w latach dziecięcych. Pamięć podsuwa obraz maniakalnie czytającej mamy, uroczych rodziców najlepszej przyjaciółki, którzy oboje byli polonistami, „pani od polskiego” w podstawówce, srogiej i ulubionej. Jednak we wspomnieniach ściśle olimpijskich na pierwszy plan wysuwają się czasy już licealne. Lekcje z polonistą, który najbardziej lubił z uczniami oglądać dobre filmy i który podsuwał nam lektury zupełnie spoza listy książek dla młodzieży odpowiednich. Była to edukacja rozwichrzona, swobodna i niezobowiązująca, ale ucząca samodzielności. Na drugim biegunie – kółko polonistyczne pani profesor uczącej w tak zwanym „humanie” (poniedziałek, 7.30). Zgodziła się, bym dołączyła do jej uczniów, chociaż przypętałam się z innej klasy. Było zasadniczo, bez żartów i wolnych wniosków. Nie pamiętam, żebyśmy prowadzili jakieś dyskusje. Za to w nieskończoność analizowaliśmy składnię zdań wielokrotnie złożonych, które pani profesor wyłuskiwała z dziewiętnastowiecznych powieści. Ów rozbiór owocował schodkowymi wykresami obrazującymi żelazną

logikę składni, która organizowała potoczyste frazy wielkich prozaików. Gramatyczna lektura Sienkiewicza i Prusa była świetną lekcją polszczyzny, lekcją zdyscyplinowanego pisania.

A w czwartej, maturalnej klasie – spotkanie z panem, który uczył mnie czytać poezję. Trafiłam do niego jako znerwicowana licealistka: już chyba po sukcesie w szkolnym etapie Olimpiady Polonistycznej, ale zupełnie serio panikując, że nie zdam matury, o egzaminach wstępnych na uniwersytet nie wspominając. Namierzono więc dla mnie młodego człowieka, doktoranta stosownego wydziału, i listopadowym popołudniem po raz pierwszy stanęłam przed drzwiami z wizytówką „J. A.”. Nazwiska nie było. Mieszkanie było wysokie i zimne, od ogromnych okien ciągnął chłód, kaflowy piec z elektrycznym napędem działał rzadko i niechętnie. Na ścianie ktoś malował złote drzewo – rozrastało się z tygodnia na tydzień. Siedzieliśmy przy niskim stoliku i czytaliśmy. Dla niego była to na pewno chałtura, dla mnie – objawienie. Pokazywał mi, jak czytać wiersze uważnie, powoli, bez egzaltacji. Nicował arcydzieła, ujawniał związki między słowami a światem, obnażał warsztat twórcy. Na pierwszy ogień poszedł Mickiewicz, ale za nim poeci dwudziestowieczni, także żyjący (jeszcze wtedy) mistrzowie, ewidentnie bliżsi sercu mojego nauczyciela. Ja jednak najlepiej zapamiętałam właśnie lektury romantyków. Konsekwentnie budowane, zmysłowe metafory („Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, / wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi”) i energię tragicznej miłości („A step – koń – kozak – ciemność – jedna dzika dusza”).

Marię Malczewskiego przeczytałam wtedy „na zadanie” ze starego wydania Biblioteki Narodowej i zapytana o sens tej powieści, za wstępem wyjaśniłam go posłusznie w duchu zupełnie marksistowskim. „Żartujesz sobie?” – spytał zmieszany pan od poezji, zanim dotarła do niego smutna prawda o mojej naiwności. To była zawstydzająca lekcja sceptycyzmu wobec zideologizowanego literaturoznawstwa (w ogóle) i beenkowskich wstępów (w szczególności). Była to też zachęta, żeby posiedzieć trochę w czytelni na Brackiej, w dusznych, zakurzonych salach, z których książki i ludzie mieli już wkrótce przenieść się na

Rajską. Rozcinając dziewicze, czterdziestoletnie zeszyty „Pamiętnika Literackiego”, przysięgałam sobie, że nigdy nie będę pisać artykułów naukowych.

Skupione lektury nie uczyniły ze mnie uczennicy godnej nauczyciela. On czytał innych poetów, sam poetą będąc (co miałam zrozumieć dopiero po kilku latach, nikogo się w tamtych dawnych czasach nie dało wygoogłać). Te korepetycje bez kucia i odpytywania dodały mi jednak odwagi we własnym myśleniu i pisaniu, także kiedy podczas olimpijskich konkursów wybierałam tematy zatytułowane *Interpretacja* czy *Interpretacja porównawcza*.

A dyskusja o *Marii Malczewskiego* przydarzyła mi się jeszcze raz: podczas finałowego etapu Olimpiady Polonistycznej, przy stole nakrytym zielonym suknem. Był wiosenny dzień, nagle upalny, ale komisja pod przewodnictwem dystyngowanej pani profesor trzymała fason. Żadnych poluzowanych krawatów – pełen szacunek dla egzaminowanych maluczkich. Żadnego okazywania znużenia. Przeciwnie, znany mickiewiczolog (jego tożsamość też znacznie później odkryłam) miał ochotę i siłę dyskutować z maturzystką o poemacie, na którego temat wiedział przecież tyle więcej niż ona. Warszawska „część ustna” Olimpiady stała się dla mnie lekcją klasy i naukowej żarliwości.

W historii każdego jest mnóstwo spotkań, które zdecydowały o tym, kim jesteśmy lub gdzie jesteśmy teraz. I może jeszcze więcej takich, które zniechęcają do dróg, o których kiedyś myśleliśmy z ciekawością lub nadzieją. Olimpiada Polonistyczna – tak jak wspominam ją dziś, po ponad dwóch dekadach – jawi się jako egzamin dojrzałości, inicjacja, owocna i długa lekcja. Jednak gdy ta przygoda działa się, postrzegałam ją po prostu jako początek długich wakacji. I pewnie była i jednym, i drugim.